

Milka, Lidia

"Historia Maroka", Andrzej Dziubiński, Wrocław 1983; "Podbój Maroka przez Francję 1830-1834", Andrzej Dziubiński, Wrocław 1983 : [recenzja]

Przegląd Historyczny 77/1, 123-135

1986

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

wanej". Logika wydarzeń i specyficzny układ polityczny — rola jego wroga, Alkibiadesa — doprowadziły go stopniowo do postawy krańcowej, do opowiedzenia się za koncepcją rządów wąskiej grupy oligarchicznej nastawionej niechętnie nie tylko do demokratów, ale właśnie także i do przyjaciół politycznych Alkibiadesa.

Największym walorem omawianej książki jest nie tyle rzucenie nowego światła na ważną, ale w końcu jedną tylko postać nurtu oligarchicznego, jak raczej wspomniana już subtelna analiza sytuacji i układu sił w Atenach w latach 412—411 z wykazaniem względności używanych w literaturze etykietek „umiarkowani” i „radykalni” oligarchowie. Nie można też oprzeć się wrażeniu (choć nie jest to wyraźnie sformułowana opinia autora), że właśnie skupiona wokół Teramentesa grupa polityków uważanych za „umiarkowanych” poczyniła najwięcej błędów politycznych, charakteryzowała się największą niezręcznością a zarazem największą bezwzględnością w realizacji własnych interesów. Omawianą pozycję można zaliczyć do prac, które poprzez skrupulatną analizę dobrze znanych źródeł próbują odczytać je nieco inaczej i w ten sposób zmieniają niektóre od lat zadomowione w nauce poglądy.

Włodzimierz Lengauer

Andrzej Dziubiński, *Historia Maroka*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1983, s. 504; tenże, *Podbój Maroka przez Francję 1830—1934*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1983, s. 166.

Zainteresowanie Marokiem ma w Polsce długą tradycję. Choć do czasów najnowszych nie łączyły obu krajów oficjalne stosunki, dokumenty archiwalne dostarczają dowodów na istnienie w odległej nawet przeszłości sporadycznych kontaktów, które zyskały potem trwalszą formę relacji handlowych i politycznych. Andrzej Dziubiński we wstępie do swej „Historii Maroka” pieczołowicie odnotowuje zarówno te pierwsze, piętnasto- i szesnastowieczne, jak i drugie, wynikające przede wszystkim z usiłowań Rzeczypospolitej znalezienia partnera przeciwko osmańskiemu imperium (XVII w.) i późniejsze (osiemnastowieczne), biorące początek z poparcia Maroka dla Turcji i, w związku z tym, zaniepokojenia jego władców losami Polski. Warto wszakże dodać tu jedną jeszcze, pominiętą przezeń informację. Otóż w czasie wojny ze Szwecją, kiedy wojska Gustawa Adolfa zajęły porty pomorskie, Zygmunt III szukał możliwości załamania morskiej hegemonii kuzyna. Gdy zawiodły plany stworzenia wielkiej floty polsko-hiszpańsko-cesarskiej, zwrócił się do... „sultana Fezzu i Maroka” z propozycją ataku na leżące poza Sundem bazy szwedzkiej. Zważywszy na morskie doświadczenia berberyjskich kaprów zamiśl ów nie był bynajmniej niewykonalny, wszelako zarówno wątle przesłanki polityczne, na jakich się opierał, jak i wymagania króla, oczekującego od sultana wystawienia 30 galeonów („okrętów orlogowych”) sprawiły, iż nic z owych projektów nie wyszło¹. Tym niemniej rzecz wydaje się godna odnotowania jako dowód siły ówczesnego państwa saadyjskiego, a także dobrego jej rozoznania przez polską dyplomację.

Pierwsza rodzima relacja z podróży do północnego Maroka, spisana po francusku przez Jana Potockiego w 1791 r., wydana została sumptem autora w rok później w Warszawie. Potocki mógł podróżować po Maroku dzięki rekomendacji marokańskiego ambasadora w Madrycie, Sidi Mohammeda ben Othmana, na którego list polecający panujący naonczas Mulat Jazid odpowiedział, iż „jeżeli należy

¹ Por. A. Szelągowski, *O ujście Wisły. Wielka wojna pruska*, Warszawa 1905, s. 303 n.

[on] do tego narodu polskiego, który związał się traktatami z państwem tureckim, można go zawieść do Sale w eskorcie pięćdziesięciu koni; jeżeli jednak należy do jakiegoś narodu sprzymierzonego z Moskwą, trzeba go wsadzić na statek i odesłać tam, skąd przybył”². Liczne marokańskie wątki odnaleźć można także w znakomitym, fantastyczno-orientalnym „Rękopisie znalezionym w Saragossie”, stanowiącym pokłosie marokańskich peregrynacji autora. Potocki zaczerpnął je bowiem z opowiadań „jednego z najuczestniejszych ludzi, jakich wydał islam”³, wspomnianego Ben Othmana.

Znaczniejszy wzrost zainteresowania sprawami Północnej Afryki i Maroka przyniósł w Polsce wiek XX, zaś ich apogeum przypadło na jego trzecią i czwartą dekadę. Obok nieobcej Polakom fascynacji egzotyką i budzących sympatie analogii historycznych (Maroko, silne państwo ostatecznie podupadło dostając się pod panowanie agresywnych — co prawda zamorskich — sąsiadów) przyczyniły się do tego i kwestie polityczne. Podbój kraju, dokonany przez marszałka Lyauteya, a także model uprawianej tam przezeń następnie polityki, uchodzący za wzorowy, rozbudzały fantazję zwolenników „Polski kolonialnej”. Ważniejszy jeszcze był czynnik ekonomiczny — zainteresowanie marokańskimi rynkami zbytu i ewentualnymi możliwościami imigracyjnymi. Jakże by zresztą nie były istotne powody, ilość poświęconych Maghrebowi wydawnictw była w tym okresie pokaźna. Za najciekawsze uznać wypada relacje podróżnicze Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego i Mieczysława Bohdana Lepeckiego. Ossendowski obok reportażu uprawiał i beletrystykę. Do najgłośniejszych i najbardziej poczytnych jego książek należały: „Płomienna Północ” (Lwów 1926), „Pod smaganiem samunu” (Lwów 1927) oraz awanturnicze powieści, osnute na marokańskich wątkach, jak m.in. „Sokół pustyni” (wyd. 1928). Z kolei Lepecki, oficer i dziennikarz, a później adiutant Piłsudskiego, swe podróże po hiszpańskim Maroku uwienczył relacjami: „U wrót tajemniczego Maghrebu” (Warszawa 1925) i „Pod technieniem sirocca” (Warszawa 1925)⁴. Obok innych prac polskich autorów w okresie między dwiema wojnami opublikowano również sporo przekładów wydawnictw zagranicznych, głównie francuskich.

Zapoczątkowane w latach pięćdziesiątych XX w. procesy dekolonizacyjne spowodowały burzliwy rozwój światowej afrykanistyki. Znalazł on pewne odbicie i w Polsce. Nim jednak zaczęły ukazywać się wydawnictwa specjalistyczne (głównie zresztą orientalistyczne i politologiczne), nieczęsto docierające do masowego czytelnika, obraz współczesnego Maroka kształtowali znów dziennikarze i literaci, tacy jak January Grzędziński czy Bronisław Miazgowski. Pomimo to stwierdzić można, że znajomość Afryki Północnej i jej przeszłości, ciągle ogranicza się w potocznej świadomości Polaków do skąpych wiadomości, dotyczących przede wszystkim epoki kolonialnej. Toteż z prawdziwą satysfakcją powitać należy opublikowanie przez Ossolineum dwu kolejnych książek Andrzeja Dziubińskiego⁵. „Historia Maroka” ukazała się w znanej serii przedstawiającej dzieje poszczególnych państw: jest w niej trzecią pozycją dotyczącą kraju afry-

² J. Potocki, *Podróż do Cesarstwa Marokańskiego (1791)*, [w:] tenże, *Podróż*, Warszawa 1959, s. 148.

³ Tamże, s. 113.

⁴ W okresie późniejszym Lepecki czynnie współpracował z Ligą Morską i Kolonialną, stawiającą sobie za główny cel nie tyle zdobycie zamorskich posiadłości, ile rozwój kontaktów handlowych Polski z posiadłościami kolonialnymi innych państw (por. T. Białas, *Liga Morska i Kolonialna 1930—1939*, Gdańsk 1983, s. 197).

⁵ A. Dziubiński jest autorem dwu poważnych i cenionych źródłowych monografii: *Maroko w XVI wieku, 1510—1578*, Wrocław 1972 i *Między mieczem, głodem i dzumą. Maroko w latach 1727—1830*, Wrocław 1977, a także, z Janem Milewskim, wydawcą cennego zbioru: *Przed podbojem. Afryka Północna i Zachodnia w relacjach z XVIII i XIX wieku*, Warszawa 1980.

kańskiego i pierwszą — arabskiego. Celem autora stało się ukazanie roli i miejsca Maroka w dziejach świata oraz przybliżenie czytelnikowi tak odmiennej od europejskiej cywilizacji. Owo prekursorskie w Polsce, generalne opracowanie dziejów Maroka, jest zarazem jedną z nielicznych syntez, jakie historiografia, tak marokańska jak i europejska, poświęciła temu tematowi.

Praca składa się z dwudziestu trzech rozdziałów, z których pierwszy służy omówieniu pradziejów i starożytności Maroka. Islamizacji kraju poświęcono rozdz. II. Zaprezentowano tu arabski podbój Maghrebu, powstanie charydżyckie, królestwo Idrysydów, rywalizację ommajadzko-fatymidzką w Maroku X w., wreszcie — życie gospodarcze w X—XI w. Rozdziały kolejne charakteryzują wielkie dynastie marokańskie, tj. Almorawidów (rozdz. III), Almohadów (rozdz. IV—V) i Merynidów (rozdz. VI—VIII). Każdej z nich poświęcono małe studium historii politycznej, od czasu narodzin, przez dobę świetności, aż do momentu upadku. Odnajdujemy tu także informacje dotyczące życia gospodarczego i środowiska społecznego, tudzież dorobku kulturalnego imperium.

Uwaga autora koncentruje się dalej na rozbiciu dzielnicowym i walce o zjednoczenie Maroka w końcu XV i pierwszej połowie XVI w. (rozdz. IX). Odtwarza on mechanizm budowy silnego państwa w okresie narodzin nowej dynastii (saadyjskiej) w momencie historycznym niekorzystnym, naznaczonym bowiem początkami ustalania się supremacji politycznej i ekonomicznej Europy w świecie (rozdz. IX—XII).

Rozdziały XIII—XVIII poświęcono drobiazgowej rekonstrukcji dziejów Maroka pod rządami Alauitów. Punktem wyjścia rozważań jest tu ukazanie różnorodnych aspektów walki dynastii o panowanie nad Marokiem. Omówieniu tego zagadnienia, jak również polityki wewnętrznej i zagranicznej Mulaj Ismaila, służy rozdział XIII. Jednak nie oryginalny bez wątplenia system ismailijski, ani też sylwetka wielkiego władcy, porównywanego — co warte odnotowania — do współcześnie z nim panującego w Rosji cara Piotra I, przyciągnęły najwięcej uwagi autora. Interesowała go przede wszystkim „anatomia” upadku państwa na przykładzie machzenu Alauitów XVIII w. (rozdz. XIV—XVIII). Zainteresowanie to wzięło się z przeświadczenia, że przyczyną utraty przez Maroko niepodległości w początku XX w. szukać należy nie w faktach bezpośrednio je poprzedzających, lecz w długofalowej i wielokierunkowej dekadencji, która znalazła swój ostateczny wyraz w kryzysach, jakie państwo i społeczeństwo przeżywały w stuleciu 1727—1827. Uderzająca jest tu analogia do sytuacji politycznej Rzeczypospolitej na przełomie XVII i XVIII wieku.

Końcowe partie książki, dotyczące współczesnego Maroka, prezentują kolejno: penetrację europejską w drugiej ćwierci XIX w. (rozdz. XIX), ewolucję wewnętrzną w dobie panowania Mulaj Hassana (rozdz. XX), ostatnie lata niepodległości i ustanowienie protektoratu, jak również kolonizację i jej konsekwencje (rozdz. XXI—XXII), wreszcie — walkę o odzyskanie niepodległości (rozdz. XXIII).

Andrzej Dziubiński słusznie podporządkował proporcje wewnętrznego podziału pracy znaczeniu poszczególnych epok w dziejach Maroka, eksponując te, w których państwo odgrywało największą rolę, nie tylko w świecie pozaeuropejskim, ale i w stosunkach z naszym kontynentem, skrótowno natomiast — odmiennie niż inni autorzy serii ossolińskiej — traktując dzieje najnowsze, kiedy to kraj stał się jedynie przedmiotem międzynarodowej polityki. Zważywszy, iż są to nie tylko dwa okresy różne jakościowo, ale — w wypadku tego drugiego — następuje zmiana perspektywy, cezurą końcową mógłby być rok 1912, kiedy to Maroko utraciło suwerenność. Takie ujęcie klóciłoby się wszakże z wymogami serii.

Kreśląc obraz dziejów Maroka autor oparł się głównie na francuskich źródłach archiwalnych i drukowanych, w tym korespondencji z epoki, kronikach, opisach geograficznych etc. oraz — co należy szczególnie podkreślić — źródłach arab-

skich m. in. kronikach, hagiografiach. Wykorzystał także wielojęzyczną literaturę naukową, zajmującą się różnorodnymi aspektami tematu i szereg dzieł o charakterze ogólnym. Warto zauważyć, iż zwłaszcza obszerne partie książki poświęcone Saadytom i Alautom, dwóm dynastiom konsekwentnie pomijanym przez badaczy (tym ostatnim poświęcają oni nieco więcej uwagi dopiero od okresu podboju!), oparte wyłącznie o badania źródłowe Dziubińskiego, stanowią jego oryginalny wkład w europejską historiografię. Zresztą podobny charakter mają i inne fragmenty pracy.

Książka opatrzona jest wskazówkami bibliograficznymi, skrupulatnie opracowanymi tablicami genealogicznymi, mapami i indeksami (osób, nazw geograficznych i etnicznych). Warto też zauważyć staranny dobór ilustracji, które są nie tylko ozdobnikami, ale istotnym uzupełnieniem tekstu. Przy okazji drobne uściślenie. Zdjęcie na s. 422 przedstawia nie „Mieszkańców Rabatu”, a rybaków z Sale, na co wskazują charakterystyczne stroje.

Drugą z omawianych pozycji jest „Podbój Maghrebu przez Francję 1830—1934”, zarys dziejów kolonialnego opanowywania państw północnoafrykańskich: Algierii, Tunezji i Maroka. W każdym z trzech przypadków autor wychodzi od genezy podboju, następnie charakteryzuje sam moment narzucenia francuskiej przewagi tak autochtonom, jak i europejskim konkurentom, by przejść do walki o utrwalenie dominacji wreszcie... zakończyć wywód w momencie wygaśnięcia walk. Omawia także problem powstawania i doskonalenia — w miarę nabywanych doświadczeń — różnych dla każdego z trzech terytoriów systemów i struktur kolonialnej władzy oraz podstawowych zasad ich materialnej eksploatacji, które to z niewielkimi tylko zmianami, przetrwały niemal do końca epoki kolonialnej.

Książka jest raczej szkicem niż syntetycznym ujęciem. Autor koncentruje się głównie na próbach obrony państw północno-afrykańskich przed europejską inwazją, dość skrótowo traktując politykę mocarstw, a zwłaszcza Francji. Pracy — podobnie jak innym w tej serii — brak przypisów źródłowych oraz pełnego wykazu bibliograficznego, jednak analiza treści pozwala domniemywać, że oparto ją na źródłach (m. in. francuskich raportach wojskowych z okresu penetracji i podboju Maghrebu) i podstawowej, przede wszystkim frankojęzycznej literaturze przedmiotu (dzieła o charakterze ogólnym, specjalistyczne monografie, biografie etc.). Podobnie jak poprzednia posiada natomiast wskazówki bibliograficzne oraz indeksy nazw i nazwisk.

Generalna ocena obydwu książek musi być nad wyraz pozytywna. Pomijając nawet widoczną, rozległą erudycję autora, oryginalność wielu jego poglądów i przemyśleń, podkreślić należy rzecz najważniejszą z punktu widzenia masowego czytelnika, do którego są przecież adresowane: potoczny, klarowny wykład i żywy, a przy tym staranny język, co sprawia, że czyta się je z prawdziwym zainteresowaniem i przyjemnością. Nie ulega także wątpliwości, iż recenzowane pozycje są ważnym osiągnięciem nie tylko w polskim piśmiennictwie. Do wniosku tego uprawnia porównanie z literaturą francuską i to nie z licznymi w niej pracami rażącymi prymitywnym socjologizmem lecz pozycjami klasycznymi, napisanymi może tradycyjnie, ale za to dobrze. Dodajmy, iż w dobie powszechnych — i generalnie uzasadnionych — narzekań na trudności z uprawianiem w Polsce dziejów powszechnych, stanowią książki Dziubińskiego krzepiący przykład możliwości podejmowania owej problematyki z pełnym powodzeniem, wszelako pod warunkiem ogromnego nakładu pracy.

Należy oczekiwać, że obydwie pozycje znajdą uznanie i poza wąskim kręgiem specjalistów. Spodziewając się kolejnej ich edycji, recenzent czuje się więc w obowiązku zasygnalizowania swych uwag, a nawet, w pewnych szczegółowych

kwestiach, podjęcia polemiki z autorem. Obligują do niej niejako walory książek, jak również świadomość, iż stanowią one będą dla wielu Polaków główne, a może i jedyne źródło wiedzy o Maroku.

Fakt, iż mamy do czynienia z trzecią dopiero, po „Historii Etiopii” Andrzeja Bartnickiego i Joanny Mantel-Niećko (Wrocław 1971) oraz „Historii Mali” Michała Tymowskiego (Wrocław 1979), afrykańską syntezą — przy czym, jak wiadomo, historyczne role tych państw są wzajemnie nieporównywalne — nakłada na autora szczególną odpowiedzialność: musiał on bowiem stworzyć na polskim rynku normę, zarówno w dziedzinie terminologii, nazewnictwa itp., jak i interpretacji.

Nasuwa się tu drobne zastrzeżenie. Autor zastosował „uproszczony (nie filologiczny) sposób transkrypcji fonetycznej słów arabskich za pomocą zbliżonych dźwięków występujących w mowie polskiej” („Historia”, s. 8). Sama zasada wydaje się jak najbardziej słuszna, aczkolwiek zostaje naruszona w wypadku kiedy to „wāw” zapisuje jako „w”, zalecając czytelnikowi wymawiać je jak angielskie „w”. Tak więc spotykamy w obu książkach m.in. Warzazat, Gławi, Alawici. Z punktu widzenia wymowy jest to niewątpliwie uzasadnione, pamiętać wszelako należy, iż przeciętny czytelnik nie zawsze rozpoczyna lekturę od wstępu; stąd obawa, że — wbrew intencjom Dziubińskiego — owo „angielskie w” będzie odczytywane po prostu jako „w” polskie, prowadząc do zniekształceń. Tak więc być może narazilibyśmy się na mniejsze deformacje pisząc: Uarzazat, Glau, Alauici?

Autor krytykuje utrwalone zarówno w polskiej publicystyce, jak i literaturze, posiadające znaczną już tradycję historyczną, użycie nazwy Rifenów dla oznaczenia Berberów z Rifu. Twierdzi, iż określenie to, wywodzące się z francuskiego *rifains*, stwarza sztuczne wrażenie, iż są oni odrębną grupą etniczną w stosunku do pozostałych berberyjskich mieszkańców kraju. „Powinno tu natomiast być stosowane — pisze — określenie »Rifeńczyk« (ar. *er rifi*). Rifeńczykowie tj. człowiek, ludzie pochodzący z prowincji, terytorium Rifu, jak na przykład *susi*, czyli Susyjczyk, jest człowiekiem z prowincji Sus, ale podobnie do Rifeńczyka wywodzi się z konkretnego plemienia, mieszkając zaś w Maroku jest po prostu Marokańczykiem” („Podbój”, s. 134).

Wywód ten wydaje się zbyt lapidarny, a przez to mało przekonujący, bowiem zarówno „Rifen”, jak „Rifeńczyk” czy też „Rifijczyk”, to i tak, jak myślę, można by spolszczyć arabskie *er rifi*, może oznaczać dowolnie zarówno mieszkańca Rifu, jak i członka grupy plemiennej i językowej. Inaczej rzecz ma się z *susi* — a więc, wedle Dziubińskiego, „Susyjczykiem”, jako że określenie to wywodzi się od prowincji (rzecz jasna w sensie historycznym!) Sus — który to, z uwagi na przynależność do grupy plemiennej i językowej, określany jest także jako Szle (franc. Szleuh). Niełatwo wreszcie byłoby wywieść geograficzną etymologię dla określenia członków niektórych plemion, jak na przykład rozrzuconego po najbardziej niedostępnych zakątkach Wysokiego Atlasu — Ait Hadiddu. Czyż zresztą przy pomocy prostych zabiegów językowych można zatrzeć istniejące ciągle w Maroku silne odrębności, nie etniczne co prawda, ale językowe i plemienne? Nie nam, jak sądzę, porządkować marokańską etymologię. Uporządkuje się sama, w procesie unifikacji kraju i ze wzrostem świadomości narodowej. Dla nas zaś głównym kryterium powinna pozostać właśnie tradycja historyczna i językowa.

Autor nie dość jasno ustosunkowuje się do silnie zakorzenionego zarówno w historiografii, jak i socjologii francuskiej poglądu wprowadzającego w dawnym Maroku podział terytorium państwowego na podległy sułtanowi — *bled el machzen* i obszary niesubordynacji — *bled es siba* („Historia”, s. 398, 399 i in.). Pogląd ów zyskał nieomal rangę dogmatu, stanowił niewątpliwie świetne alibi, tak dla samego faktu podboju Maroka jak i prowadzonej tam polityki *divide et impera*; dał

też początek wielu stereotypom, jak np. dobrego Berbera i przewrotnego Araba⁶. Wydaje się, iż w istocie granica między *bled el machzen* i *bled es siba*, była zawsze dość płynna (o czym zresztą autor wspomina), zaś problem istniejących między nimi sprzeczności — niezwykle złożony. Dość powiedzieć, iż w kraju *siba* modlono się w imieniu rządzącego imama, nawet jeśli nie płacono mu podatków, zaś wzięty w niewolę władca (bo zdarzały się takie wypadki!) traktowany był z wielkimi honorami, gdyż z jego obecnością na szczep spływała *baraka* (łaska) szerifa (potomka Proroka). Życie nakładało także na mieszkańców siby konieczność utrzymywania kontaktów gospodarczych z miastami *machzenu*. Warto by więc zasygnalizować istnienie drugiego, przeciwstawnego wspomnianemu wyżej, nurtu francuskiego piśmiennictwa, który, aczkolwiek nie tak licznie reprezentowany, tradycjami sięga początków XX w.⁷, a także zrelacjonować co na ten temat ma do powiedzenia, co prawda bardzo jeszcze młoda, tym niemniej nie rzadko interesująca historiografia marokańska.

Z kolei wspominając o Moryskach, autor zauważa, iż ci potomkowie andaluzyjskich muzułmanów, oficjalnie wyznający katolicyzm, stale podejrzewani byli przez inkwizycję o potajemne praktykowanie islamu. Wypędzeni z Półwyspu Iberyjskiego, znów jako muzułmanie, mścili się na chrześcijanach uprawiając korsarstwo („Podbój”, s. 15). Warto tu dodać, iż żywe ślady tej historii można odnaleźć i dziś w „gnieździe” korsarzy — Sale.

Otóż co roku, w wigilię narodzin Proroka, odbywa się tam unikalna w Maroku Procesja Świec. Owe świece mają kształt ponad metrowej wysokości walców, zwieńczonych kopułami z wystającymi wieżyczkami. Składają się z tysięcy kawałeczków rzeźbionego wosku, mieniących się najróżniejszymi barwami, misternie osadzonych na długiej żerdzi. Przypominają nieco chrześcijańskie szopki. Obnoszą je wdłuż murów medyny jej mieszkańcy, przebrani w tradycyjne korsarskie stroje — *ksaui al Mahsur* (l. poj. *ksaua el Mahsur*), by złożyć po ceremonii w marabucie, tj. grobowcu świętego patrona Sale, Sidi Abdallaha ben Hasuna. Za nimi podążają miejscowe bractwa religijne: Aisaua i Hamadsza, wyróżniające się strojami pochodzącymi ze Średniego Atlasu, utkanymi z czerwonej wełny w białe i czarne prążki, ozdobione deseniami geometrycznymi i naszywane dużymi, srebrnymi cekinami, przy czym członków Hamadsza rozpoznać można dodatkowo po ogolonych głowach. Aisaua to adepci Sidi Mohammeda ben Alisy, pochowanego w Meknesie na początku XVI w.; Hamadsza wzięli nazwę od świętego opiekuna — Sidi Ali ben Hamdusza (koniec XVII w.). W rytm bębenka — *tbal* i rodzaju fletu czy raczej fujarki — *ghaita*, zarówno jedni jak i drudzy pogrążają się w ekstatycznym tańcu, w trakcie którego niegdyś pierwsi rozrywali gołymi rękami podsuwane im żywe barany i zjadali ich surowe mięso, tudzież szklane naczynia i kolczaste owoce opuncji, zaś drudzy okaleczali się toporami, a wszystko to wśród radosnych okrzyków obserwujących ich kobiet i podziwu ga-

⁶ Warto zauważyć, iż francuskie próby prowadzenia polityki „berberyjskiej” wywołały protesty Marokańczyków. Najgłośniejszym i o dużym ciężarze gatunkowym była wydana w 1931 r. w Szwajcarii broszura: *Tempête sur le Maroc ou les erreurs d'une „politique berbère”*. Autorem jej, kryjącym się za pseudonimem Mouslim B a r r a b i, był w rzeczywistości Mohammed Hasan el U a z z a n i, jeden z ojców marokańskiego nacjonalizmu. O roli tej pracy dla rozwoju samoświadomości Marokańczyków por. I. O u a z z a n i, *Mohammed Hassan Ouazzani. Combat de la plume*, [w:] *Le Mémorial du Maroc. Collection dirigée par Labri Essakli t. VI, 1934—1953: Lutte du Roi et du peuple*, [Rabat] 1984, s. 55. Dziubiński, jak się zdaje, nie wykorzystał tego wielotomowego wydawnictwa. Pierwsza rodzima synteza, będąca w istocie zbiorami szkiców i artykułów, być może nie posiada większej wartości poznawczej, przedstawia wszelako stanowisko marokańskich historyków i publicystów; niezwykle przydatne dla autora mogły być natomiast znakomite materiały ikonograficzne.

⁷ Por. E. A u b i n, *Le Maroc d'aujourd'hui*, Paris 1904.

wiedzi. Dziś z owych praktyk ostał się tylko taniec, wykonywany, zawsze na bosaka, na znak pokory, poświęcenia i poddania się Bogu. Trzecie i ostatnie z miejscowych tańczących bractw to Gnaua, potomkowie czarnych niewolników, odziani w białe koszule, czerwone suknie bez rękawów (*gandory*), skrzyżowane na piersi, haftowane muszelkami pasy i także okrągłe czapeczki na głowach. I oni tańczą w rytm religijnej, przerobionej z tradycyjnej, pieczołowicie przechowywanej muzyki Czarnej Afryki. Pochód uzupełniają harcerze w mundurach przyozdobionych wizerunkami panującego króla Hasana II (jeszcze w okresie protektoratu, jako następcy tronu, został on opiekunem organizacji), niosący makiety twierdzy korsarskiej, podarki-niespodzianki zwane *tbak* itp., dalej przedstawiciele służb manicypalnych i wreszcie reszta mieszkańców miasta. Ów oryginalny obyczaj został prawdopodobnie zapożyczony z Hiszpanii. Wydaje się, iż późniejsi mieszkańcy Sale, zafascynowani chrześcijańskimi procesjami, które obserwowali, a pewnie i nierzadko sami w nich uczestniczyli, zabrali go z sobą opuszczając Andaluzję.

Przechodząc do uwag szczegółowych stwierdzić trzeba, iż stosunkowo obszernie omawia Dziubiński w „Podboju” algierską ekspedycję Karola X. Można wszelako wywód jego uzupełnić w dwu punktach. Gen. de Bourmont „osobnik o dziwnych zapatrywaniach na lojalność” był „nienawidzony nie tylko jako odstępcą Napoleona w przededniu bitwy pod Waterloo (s. 25) — ale przede wszystkim jako dobrowolny świadek oskarżenia w haniebnym procesie marszałka Ney’a⁸. Warty cytatu jest również decydująca rozmowa ministra marynarki — Charles’a d’Hausena z ambasadorem brytyjskim — baronem Charlesem Stuartem. Pierwszy z nich — wedle swych pamiętników — miał oświadczyć: „Francja — — kpi sobie z Anglii (w miejsce słowa „kpi” użyłem innego, dosadniejszego). Zrobi to, co będzie chciała. Jeśli zechcecie się przeciwstawić, będziecie mieli po temu sposobność. Nasza flota, zebrana w Tulonie, wyruszy w końcu maja”⁹. Istotna była tu nie tylko obcesowość tonu, ale i determinacja Francuzów; Brytyjczycy, stosujący swą ulubioną metodę szantażu, nie pragnęli bynajmniej otwartego konfliktu i napotykając opór oczywiście ustąpili. Należałoby również zaznaczyć (skoro już autor dość obszernie omawia przebieg ekspedycji), iż uczestniczył w niej — jako jednostka łącznikowa — parowiec „Sphinx”, dzięki czemu zyskała ona sobie precedensowy charakter w historii wojen morskich. I jeszcze drobiazgi: zdobywca Tunezji, gen. Forgémol de Bostquenard, miał na imię Léonard Léopold.

Autor słusznie podkreśla, iż w ciągu kilkunastu lat po wkroczeniu Francuzów do Algierii (1830 r.) marokański sułtan, Mulaj Abd er Rahman, prowadził bardzo ostrożną politykę zagraniczną; unikał zwłaszcza nadmiernego rozwoju handlu, upatrując w nim wygodną furtkę dla obcej penetracji. Wspierał przy tym Abd el Kadera, co miał przypłacić interwencją Francji i klęską nad Isli w roku 1844 (s. 109). Wypada tylko dodać, iż już w momencie lądowania Francuzów w Algierze, sułtan nakazał zainwokować „Latif” — modlitwę recytowaną w momentach największego zagrożenia kraju i religii — co świadczy o tym, jak dalece był przekonany, iż owa operacja dotyczy w najwyższym stopniu także jego i jego państwa. Kiedy następnie mieszkańcy pogranicznego Tlemsen poprosili o wzięcie ich w opiekę przed najeźdźcami, nie odmówił (Francuzi mieli zresztą wkrótce zająć miasto).

⁸ A. G. Macdonell, *Napoleon i jego marszałkowie*, Warszawa [b.d.w.], s. 266; por. G. Six, *Dictionnaire biographique des généraux et amiraux français de la Révolution et de l'Empire* t. I, Paris 1934, s. 146; E. Franceschini, *Bourmont Louis-Auguste-Victor de Ghaisne, comte de*, [w:] *Dictionnaire de biographie française* t. VI, Paris 1954, l. 1519—1521.

⁹ Cyt. za Ch. La Roncière, G. Clerc-Rampal, *Histoire de la marine française*, Paris [1934], s. 240.

Bez wątplenia niedopatrzaniem jest pominięcie w pracy osoby wicehrabiego Charlesa Eugène'a de Foucaulda. Urodził się 15 września 1858 r. w Strasburgu, w rodzinie arystokratycznej, sięgającej swą genealogią X wieku. Kiedy Francja straciła miasto (1871 r.), zaś Foucauld dom rodzinny, wstąpił do wojska; jako oficer kawalerii brał udział w tłumieniu powstania w Algierii w r. 1881. Wkrótce potem zgłosił się do niebezpiecznej misji w Maroku, w trakcie której miał zebrać informacje natury geograficznej, nie gardząc przy tym szczegółami o charakterze gospodarczym, politycznym i wojskowym. Miał po temu znakomite kwalifikacje: był odważny, inteligentny i wnikliwy, nieźle szkicował, a co najważniejsze — znał miejscowy język i obyczaje. Podróż rozpoczął w Tangerze, jedynym praktycznie marokańskim mieście otwartym wówczas dla obcych. Przemierzył Maroko i algierską Saharę na oślicy, w przebraniu algierskiego rabina. „Od 20 czerwca 1883 do 23 maja 1884, wicehrabia de Foucauld sam jeden, co najmniej podwoił starannie przygotowaną marszrutę. Sprawdził i poprawił 689 km prac swych poprzedników i dodał do nich 2250 nowych km. Co się tyczy geografii fizycznej, wytyczył 45 stopień długości i 40 szerokości geograficznej i tam, gdzie posiadaliśmy tylko kilkadziesiąt wyznaczników szerokości, określił ich 3.000”¹⁰. Zebranego materiału starczyło na opasły tom, opublikowany w 1888 r., opatrzony 20 mapami i licznymi szkicami: „La Reconnaissance au Maroc”. Foucauld nie uważał się jednak za szpiega. Poznając Afrykę Północną pokochał ją i jej mieszkańców. Wstąpiwszy do zakonu trapistów, około 1901 r. osiadł jako misjonarz w głębi środkowej Sahary, wśród varegów, z których też ręki zginął (1916). Choć niewątpliwie jego praca znakomicie ułatwiła kolonizację Maroka i dlatego umieszczano go zawsze w panteonie budowniczych francuskiego imperium, to jednak równie wysoko cenili i cenią go do dzisiaj Marokańczycy, świadectwem czego są choćby ulice opatrzone jego nazwiskiem, których nie przemianowana po roku 1956.

Podobnie rzecz się ma z Louistem-Hubertem-Gonzalve Lyauteyem, jedną z najbarwniejszych i najwybitniejszych postaci w dziejach francuskiego kolonializmu, bez wątplenia zasługującą na dokładniejsze omówienie. Generał, uhonorowany w r. 1921 — rzecz niezwykła — marszałkowską buławą, za bezkrawawy w gruncie rzeczy podbój Maroka, wspomniany jest co prawda dziesięciokrotnie w „Historii”, przy różnych okazjach, ale charakterystyce jego polityki poświęcono zaledwie sześć zdań (s. 395); informacje zawarte w „Podboju” nie są obszerniejsze. Jest to z pewnością zbyt mało, by polski czytelnik, któremu osoba Lyauteya nie jest równie znana jak Francuzom czy Marokańczykom, mógł wyrobić sobie pogląd na temat jego polityki. A przecież stworzył on nie tylko protektorat, ale i własną, oryginalną koncepcję zarządzania nim, wokół której do dziś toczą się gorące spory. Dobrze by więc było, aby w kolejnym wydaniu Dziubiński wypowiedział się w tej sprawie szerzej, tak, by czytelnicy mogli zdecydować czy był to — jak pisze, powtarzając francuskie opinie, polski dziennikarz Piotr Lot — „Lyautey afrykański”, rozgłośny zdobywca i pacyfikator Maroka, stary lew kolonialny, człowiek zaiste na miarę ludzi wielkich, żołnierz, pisarz, dyplomata i esteta pogromca Islamu a dzisiaj jego kochanek — fanatyczny obrońca!”¹¹, czy raczej wystrojony „w czepek i okulary Babcy, Jaśnie Pan Wilk, w którego starych planach leżało »przełknięcie« zdobywcy”, wszelako bez narażenia się na „przykrość wcześniejszej przemocy — —, aczkolwiek nie brakowało mu ani zębów ani pazurów”¹².

†

¹⁰ M. M. Vaussard, *Charles de Foucauld. Maître de vie intérieure*, wyd. 2, Paris 1947, s. 19.

¹¹ P. Lot, *Biały burnus i czarne oczy*, Warszawa [1925], s. 31.

¹² G. A y a c h e, *Les origines de la guerre du Rif*, Rabat 1981, s. 60.

Opisując wojnę Rifu, autor przypomina dobrze znany fakt przyjęcia przez jej wodza, Abd el Krima, na użytek opinii światowej, zwłaszcza zaś celem pozyskania dla swej sprawy partii lewicowych w parlamentach, terminu „republiki rifeńskiej” i nazwanie siebie jej „prezydentem” („Podbój”, s. 134). Opatruje go przy tym celną uwagą, iż pewne środowiska europejskie owa „republikańskość” przekonała tak dalece, że np. historiografia radziecka wierzy w nią do dziś¹³. Warto byłoby jednak zastanowić się, czy nomenklatura ta nie była dlań w efekcie bardziej kłopotliwa niż pomocna, zważywszy choćby na sytuację wewnątrzpaństwową (wszak Abd el Krim nigdy nie kwestionował zwierzchności sułtana).

„Zesłany na wyspę Réunion na Oceanie Indyjskim — kończy autor prezentację jego życiowej epopei — zbiegł w 1947 roku do Egiptu, gdzie zmarł w 1963 roku” („Podbój”, s. 135). Tymczasem polityczna aktywność tego wielkiego przywódcy nie wygasła bynajmniej w roku 1926 i choć wykracza poza ramy książki, niewątpliwie zasługuje na krótką bodaj wzmiankę. Otóż pierwszy o Abd el Krimie przypomniał sobie wspomniany już wyżej gen. Nogués: w 1940 r. myślał o sprowadzeniu go do Maroka, by nastraszyć Hiszpanów, którzy krótko po klęsce Francji zajęli Tanger, zagrażając bezpośrednio francuskiej strefie. Wówczas jednak rząd marszałka Petaina odmówił. W kilka lat później do pomysłu nawiązali Eirik Lambonne (rezydent generalny w Rabacie w latach 1946—1947) i gen. Georges Catroux. Tym razem Abd el Krim, człowiek o niekwestionowanym wśród rodaków prestiżu, niedłwie żywa legenda, przeniesiony do Francji służyć miał jako swoista przeciwwaga dla niebezpiecznie rosnącego autorytetu władcy Maroka. W lutym 1947 r. rada ministrów wydała ostatecznie wiążącą decyzję, ulegając dodatkowym argumentom ówczesnego ministra spraw zagranicznych, Georges Bidaulta, iż byłoby niebezpiecznie pozwolić, by stary emir umarł na wygnaniu.

Abd el Krim miał przypląć francuskim statkiem „Ville de Strasbourg”. Nie czekając go jednak, za zezwoleniem gubernatora Réunion, wsiadł na pokład australijskiego statku „Katoumba”. W Adenie czekały nań licznie zgromadzone osobistości świata arabskiego. Tam jeszcze odmawiał ucieczki, „by nie złamać danego słowa”. Wszakże w trakcie przeprawy przez kanał skrupuły go opuściły i, po namyśle, zdecydował się skorzystać z oferowanej mu przez króla Faruka gościny. Właśnie z Egiptu miał wzywać odtąd mieszkańców Afryki Północnej do walki niepodległościowej, wskazywać na zagrożenie komunizmem — „tym wrogiem wszystkich religii”, apelować do opinii publicznej i rządu amerykańskiego, upewniając zarazem ten ostatni, iż nie obawia się „dyplomacji dolara” etc. Cała ta głośna sprawa skompromitowała Francję i spowodowała jej dyplomatyczny konflikt z Egiptem¹⁴.

Nawiasem mówiąc, w tradycji historycznej utrwaliła się pisownia Abd el Krim, podczas gdy Abdelkrimem zwał się jego ojciec (o czym autor wspomina,

¹³ Wojnie rifeńskiej, jako konfliktowi „gdzie rozstrzyga się los afrykańskiego imperium kolonialnego Francji”, starciu, w którym zmierzyła się najsilniejsza armia ówczesnej Europy z wojskami typu rewolucyjnego, poświęcił obszerne studium najwybitniejszy dowódca radziecki tej doby, Michaił Frunze (*Europejscy cywilizatorzy a Maroko*, [w:] tenże, *Dzieła wybrane*, Warszawa 1953, s. 480—581, cyt. fragment s. 481). Warto tu przytoczyć z pewnością przesadną, ale typową dla ówczesnych nastrojów Francuzów opinię Ossendowskiego, iż wśród przyczyn wybuchu powstania „na pierwszym miejscu postawić należy agitację Rosji Sowieckiej, której tu nie chodzi o komunizm, lecz o zamieszki, o nową wojnę, o przysporzenie kłopotów tym, którzy podejrzliwie spoglądają w stronę Kremlinu z jego nowymi władcami” (*Płomienna Północ. Podróż po Afryce Północnej. Marokko*, Lwów—Poznań 1926, s. 150 n.).

¹⁴ Por. V. Auriol, *Journal du septennat 1947—1954 t. I: 1947*, Paris 1970, s. 256—258, 365, 740, 764 n., 782; A. el Fasi, *Los movimientos de independencia en el Mogreb Arabe*, El Cairo 1948, s. 384—390; R. Montagne, *Révolution au Maroc*, Paris 1953, s. 168—174.

acz bez szczegółów) i to imię tak jak imiona europejskie, określało tylko jego, nie zaś jego dzieci. Synowi nadano imię — Mohammed, co dało arabskie Mohammed ben Abdelkrim, tłumaczące się jako „Mohammed syn Abdelkrima”. To Hiszpanie „syn Abdelkrima” zmienili na „syn Abdelkrim”. Nazywali go więc początkowo Mohammedem Abdelkrim, później krótko Abdelkrimem i to właśnie imię miał poznać świat. Berberowie z Rifu znali zawsze tylko Abdelkrima ojca, zaś syna zwali Si Mohammed (Si przed nazwiskiem to skrót od *sidi*, tj. pan) lub zdrobniale Si Mohand, zaś w szczytowym okresie sławy Mulaż Mohand, tj. jego wysokość Mohammed, nadużywając tytułu przysługującego władcom¹⁵. Oczywiście trudno by żądać, aby prawidłowa forma zastąpiła dawną, tym niemniej autorzy encyklopedii, indeksów itp. powinni o tym pamiętać.

Pisząc o działaczach marokańskiej opozycji lat trzydziestych, autor słusznie podkreśla, iż wywodzili się oni ze średniego i drobnego mieszczaństwa („Historia” s. 429). Dodać wszakże należy, że powyższej klasyfikacji nie poddają się najwybitniejsi jej przedstawiciele, wywodzący się bądź ze środowisk dość ubogich, jak Allal el Fasi, bądź też bardzo bogatych, jak Hasan el Uazzani, Ahmed Balafreż czy Omar ben Abdelzellil. Myli się natomiast twierdząc, iż w latach II wojny światowej proletariaty miejski i wieś przyłączyły do zwolenników protektoratu (s. 440). Wówczas bowiem zarówno proletariaty, jak i ludność wiejska, pozostawały jeszcze indyferentne na hasła nacjonalistyczne — czy też, jak chce Dziubiński, patriotyczne — zaś założona w końcu 1943 r. partia Istikal (Niepodległość) długo jeszcze miała pozostać partią kadrową.

Nie jest także z pewnością słuszny, aczkolwiek przyjęty przez historiografię, pogląd, iż polityka gen. Charlesa Noguèsa (rezydenta Francji w Maroku w latach 1936—1943), nie różniła się od polityki jego następcy w Rabacie — Gabriela Puax („Historia”, s. 443). Na ocenie pierwszego z nich zaciążył niewątpliwie utarty pogląd, upatrujący w generale bez zastrzeżeń „człowieka Vichy”. Tymczasem w istocie był on dobrym administratorem, uczniem i kontynuatorem polityki marszałka Lyauteya, dążącym do uspokojenia kraju, poprawy jego sytuacji gospodarczej i znalezienia francusko-marokańskiego *modus vivendi*. Do Petaina przyłączył się nie bez wahań, rozważając w 1940 r. podjęcie churchillowsko-reynaudowskiej koncepcji kontynuowania walki w oparciu o Afrykę Północną, Puax zaś, zaciekle konserwatysta, stosował — z pełną zresztą aprobatą de Gaulle'a — zasadę dyktatu, czego efektem był brzemenny w skutki kryzys 1944 r.

W uproszczony sposób autor przedstawia spotkanie marokańskiego sułtana z prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem w Anfie, 22 stycznia 1943 r. („Historia”, s. 440). Waga prowadzonych rozmów wynikała bowiem nie tyle z ich treści, co psychologicznego i politycznego kontekstu. Szef potężnego mocarstwa rozmawiał z władcą Maroka jak równy z równym, co więcej bez udziału rezydenta generalnego Francji. Nie to jednak, jak również nie pośrednie obietnice Roosevelta, stanowiły o istotnej przyczynie niezadowolenia okazywanego przez władze francuskie, a także premiera Wielkiej Brytanii — Winstona Churchilla. Umiędzynarodowienie kwestii marokańskiej budziło obawy, jak się niebawem miało okazać uzasadnione, co do dalszego kierunku polityki Stanów Zjednoczonych wobec francuskiego i brytyjskiego imperium¹⁶.

Z kolei czytając, iż Mulaż Hafid abdykował emigrując z Maroka do Francji („Podbój”, s. 129), można zrozumieć, że chodziło o abdykację dobrowolną, podczas gdy faktycznie został do niej zmuszony. Dla dziejów protektoratu szczególne ów wydatek się istotny, gdyż w późniejszej francuskiej publicystyce politycznej, a nawet

¹⁵ Por. G. Ayache, op. cit., s. 156 n.

¹⁶ Por. E. Roosevelt, *W jego oczach. Wspomnienia 1940—1945*, Warszawa 1948, s. 103—105.

literaturze naukowej, obalenie w sierpniu 1953 r. Mohammeda ben Jusefa, traktowane było jako precedensowe.

Podobnie uznać należy za nieścisle stwierdzenie, iż akceptując detronizację tego ostatniego, rząd francuski ugiął się przed ultimatum El Glaui („Historia”, s. 450). Plan obalenia marokańskiego władcy został opracowany w najdrobniejszych szczegółach i z prawdziwą perfekcją wprowadzony w życie przez trio: El Glaui, Juin, Boussac. Decyzje podejmowane były kolegialnie, a więc odpowiedzialność za nie jest niepodzielna. Do spisku wciągnięto wielu przedstawicieli francuskiej administracji protektoratu, m.in. Boniface’a, Blessona i Vallata¹⁷, a nawet niechętnego początkowo pomysłowi, ówczesnego rezydenta Francji w Rabacie, gen. Augustina Guillaume’a. Postawiony przed faktami dokonanymi rząd mógł już tylko zaakceptować a *posteriori* zakończoną operację, broniąc się przed ostateczną utratą autorytetu.

Omawiając reakcję Hiszpanii na detronizację Sidi Mohammeda, autor twierdzi, iż „nacionalizm marokański zyskał nieoczekiwanego sprzymierzeńca we frankistowskiej Hiszpanii” („Historia”, s. 450). Czyż jednak istotnie był to sprzymierzeniec nieoczekiwany? Wszak począwszy od traktatu francusko-hispańskiego z listopada 1912 r., dotyczącego podziału stref wpływów w Maroku, stosunki między protektoratami nie obywaty się bez ustawicznych antagonizmów, zwłaszcza od czasu *pronunciamento* gen. Franco, w którym to zresztą licznie wzięli udział Marokańczycy. Od czasu do czasu dochodziło co prawda do pewnego odprężenia między Rabatem i Tetuanem na skutek osobistych, usilnych starań reprezentantów obu krajów, ale i to skończyło się w roku 1951, ze śmiercią gen. Vareli i odejściem gen. Juina. Rozżalenie Hiszpanii, wywołane ruiną jej marokańskich ambicji i usunięciem z zajętej w trakcie działań wojennych międzynarodowej strefy Tangeru, przerodziło się w otwartą wrogość wobec Francji po obaleniu Mohammeda ben Jusefa. Akt ten został poczytany przez Madryt i Tetuan za arbitralny i przyjęty jako afront. Oczywiście wygodnie było nie brać pod uwagę faktu, iż organizatorzy zamachu stanu nie poinformowali o nim w porę także rządu francuskiego, zważywszy niepowtarzalną dla Franco okazję przypomnienia o swej egzystencji, uregulowania rachunków, a nade wszystko — ukazania się opinii publicznej w charakterze obrońcy międzynarodowego morale. Trzymany na uboczu sceny międzynarodowej i paktów wiążących państwa zachodnie, *caudillo* szukał kompensaty zabiegając o poparcie krajów arabskich. Praktycznym rezultatem jego działań było doprowadzenie do lepszych niż w przeszłości stosunków z Bliskim Wschodem i zbliżenie z państwami Ameryki Łacińskiej, co miało pozwolić na uzyskanie ich poparcia w staraniach Hiszpanii o przyjęcie do ONZ.

Całkowitym milczeniem pomija Dziubiński także niechlubną dla Francji abdykację sukcesora obalonego władcy — Mohammeda ben Arafy. Okolicznościom odejścia tego ostatniego należało, jak sądzę, poświęcić choćby krótką wzmiankę, nie tylko z uwagi na ich malowniczy charakter, przywodzący na myśl kombinację westernu z wodewilem, ale przede wszystkim dlatego, iż cała ta sprawa stała

¹⁷ Thami el Glaui — pasza Marrakeszu, jedna z kluczowych postaci politycznych współczesnego Maroka; gen. Alphonse Juin — rezydent generalny w Rabacie w latach 1947—1951, jeden z głównych członków marokańskiego lobby, późniejszy marszałek Francji; Marcel Boussac — przemysłowiec francuski mający rozległe interesy w protektoracie, bliski przyjaciel El Glauiego, wpływowy członek marokańskiego lobby; Philippe Boniface — prefekt (*le chef de la Région*) Casablanki, potężny, praktycznie nietykalny (na skutek swych politycznych powiązań w metropolii) przywódca francuskich ultrasów; Jacques de Blesson — jeden z wyższych urzędników w Rezydencji (*le délégué général à la Résidence*); Marcel Vallat — Dyrektor Spraw Wewnętrznych. Por. E. Faure, *Memoires t. I*, Paris 1982, s. 485—494.

się przedmiotem niezwykle ostrej konfrontacji między zwolennikami przyznania Maroku niepodległości a ultrasami.

Lapidarny wywód, iż Francja wycofała się z Tunezji, a następnie z Maroka, gdyż przegrała w Indochinach („Historia”, s. 456), prowadzić może do utrwalenia się jednego jeszcze stereotypu. Co prawda pogląd ten zdołał już okrzepnąć w literaturze i z odległej perspektywy może wydawać się słuszny, aliści w 1954 czy 1955 r. sprawa wycofania się Republiki z owych zamorskich posiadłości nie była bynajmniej oczywista; ta bowiem, pozbawiona Annamu i Tonkinu, tym bardziej potrzebowała Afryki Północnej. Stąd usiłowania kolejnych rządów francuskich nawiązania porozumienia z marokańskimi i tunezyjskimi nacjonalistami, celem uniknięcia nowej wojny (w Algierii było wówczas jeszcze stosunkowo najspokojniej!). Wszelako najbardziej nawet liberalni politycy, tacy jak Pierre Mendes-France czy Edgar Faure, skłonni byli zapłacić cenę autonomii wewnętrznej dla północnoafrykańskich protektoratów, by tym pewniej zachować Algierię. Jedynie komuniści głosili konieczność przyznania tej ostatniej niepodległości, ale i oni pojmowali ją w swoisty sposób. Tak jak parę lat wcześniej Maurice Thorez występował jako zwolennik utworzenia republiki indochińskiej, podkreślając jednak, iż powinna ona otrzymać w ramach IV Republiki status analogiczny do radzieckiej Ukrainy, tak i teraz przywódcy partii nie chcieli dla Algierii niezależności innej, jak tylko solidnie kontrolowanej przez bratnią partię komunistyczną. Trzeba im jednak oddać sprawiedliwość: w ciągu 10 lat ich stanowisko w tej sprawie uległo i tak dalece idącej ewolucji. W roku 1945, kiedy to wydawało się, iż partia ma szansę na uzyskanie pełni władzy byli oni wszak orędownikami bezwarunkowego zachowania imperium, zaś nacjonalistów algierskich, którzy rozpoczęli powstanie w Setifie określali mianem „faszystowskich agentów”. Co więcej, nota ministerstwa spraw zagranicznych, z 16 maja 1945 podkreślała, iż obok centrali związkowej CGT i partii socjalistycznej, partię komunistyczną — francuska i algierska (!) — surowo potępiły ową „kryminalną agresję”¹⁸.

Trudno mieć pretensje do autora o występujące w pracach drobne niekonsekwencje i pomyłki w terminologii, faktografii i nazewnictwie. Są one nieuniknione w książkach przedstawiających po raz pierwszy tak obszerne zagadnienia. Mimo to pozwolę sobie przytoczyć kilka z nich.

W roku 1945 gen. Charles de Gaulle nie był prezydentem Francji, a premierem Tymczasowego Rządu Republiki Francuskiej („Historia”, s. 442). „La Provence” to nie fregata, a okręt liniowy („Podbój”, s. 21). Dolina Dra leży nie w Wysokim Atlasie (aczkolwiek z jego południowych stoków rzeka bierze swój początek), a na południe odeń, w AntyAtlasie, ciągnąc się aż po okolice Mhamid na Saharze („Historia”, s. 396). Niezbyt fortunate jest też określenie przysaharyjskiego płd. Maroka jako składającego się z masywu górskiego — Dżebel Seghro, AntyAtlasu i oazy Tafilalet („Podbój”, s. 135). Dżebel Seghro stanowi bowiem wschodnią część masywu AntyAtlasu. Z kolei Tafilalet nie jest oazą lecz rozległym gajem (około 700 tys. palm daktylowych) ze wstęgą *ksur* (l. poj. *ksar*), tj. otoczonych murami wiosek, sięgającym swym południowym krańcem Sahary. Tak więc przysaharyjskie południe Maroka to po prostu AntyAtlas. Są to oczywiście drobiazgi, wynikające z niedokładności źródeł i opracowań geograficznych.

Brak też czasami konsekwencji: podając nazwy marokańskich baz korsarskich pisze autor np. Rabat, a tylko w nawiasie Sale, trzymając się współczesnej nazwy Rabat-Sale (niegdyś były to dwa odrębne miasta), natomiast nieco dalej Al Araisz, nie podając z kolei współczesnej nazwy — Larasz („Podbój”, s. 11, 15). Ponadto używa wyłącznie starej nazwy tunezyjskiego Sfaksu — Safakis („Podbój”, s. 87,

¹⁸ G. Elgey, *La République des illusions 1945—1951 ou la vie secrète de la IV^e République*, Paris 1965, s. 29.

102—106). Wreszcie, nazwę stolicy Libii zwykło się pisać po polsku Trypolis, a nie Tripolis („Podbój”, s. 11, 12, 102, 144, 145), zaś imię władcy Wandalów — Genzeryk, nie — Geiserich („Historia”, s. 29).

Myszę, że znikoma ilość zastrzeżeń, jakie budzi lektura obydwu prac (łącznie blisko 700 stron!) potwierdza wstępne wnioski. Żal budzić musi jednak fakt, iż książki tak dobre, wskutek nieszczęsnej bariery językowej, nie mają większych szans, by wejść do światowego piśmiennictwa. A sądzić można, że frankojęzyczna edycja „Historii Maroka” stałaby się prawdziwym bestsellerem, z racji swego obiektywizmu i dystansu, na który potrafi zdobyć się niewielu badaczy francuskich.

Lidia Milka

Jerzy Kłoczowski, *Europa słowiańska w XIV—XV wieku*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1984, s. 464, 13 luźnych wkładek.

Określenie „Europa słowiańska”, którym się autor konsekwentnie posługuje dla oznaczenia ziem położonych między Bałtykiem a Adriatykiem i Morzem Czarnym jest określeniem umownym, gdyż obok Słowian zamieszkiwali ten obszar także Litwini, Węgrzy, etnicznie mieszana ludność księstw rumuńskich oraz Albańczycy. Obszar ten nie stanowił w XIV—XV wieku ani jednostki politycznej (w pewnym okresie powstał na jego obszarze wielki organizm „Europy Jagiellońskiej”) ani kulturowej (odmienne kręgi wpływów Zachodu i Bizancjum). Łączyła ją natomiast, uwypuklona silnie przez autora, tendencja rozwojowa, przejawiająca się w czasach, gdy wiele krajów Europy Zachodniej przeżywało regres (zjawisko szeroko wśród mediewistów dyskutowanego tzw. kryzysu XIV—XV w.). Ale i ów rozwój okazuje się nierównomiernym. Na Bałkanach dość wcześnie zatrzymuje go ekspansja turecka. W środkowej części „Europy słowiańskiej” diachronię rozwoju wykazują Czechi; husytyzm jest być może przejawem „kryzysu wzrostu”, ale jednak kryzysu (niezauważalnego w sąsiedniej Polsce).

Praca J. Kłoczowskiego jest próbą syntezy wykorzystującej najnowsze wyniki badań, niekiedy bardzo szczegółowych i różnorodnych. Wykorzystano prace z zakresu innych, obok historii, dyscyplin humanistyki: historii sztuki, literatury, języka itd. Zaznaczył się poważny wkład wyników własnych badań autora oraz kierowanego przez niego zespołu, zwłaszcza w omawianej dość obszernie dziedzinie struktur kościelnych (sieci parafialnej, zakonów, szkolnictwa), elit intelektualnych Kościoła, nurtów pobożności elitarnej i masowej, w zakresie refleksji nad poszerzeniem i pogłębieniem chrześcijaństwa w Polsce i całej Europie środkowo-wschodniej.

„Europa słowiańska” stanowi polskojęzyczną wersję pracy przeznaczonej dla czytelnika zachodnioeuropejskiego. Stąd też, zwłaszcza gdy idzie o fragmenty dotyczące Polski, omawia niekiedy zagadnienia wielokrotnie już przedstawiane w naszej nowszej historiografii. Jednakże autor próbuje je włączać w zjawiska powszechne, obejmujące szeroki obszar omawianej części Europy. Często jednak rezygnuje słusznie z perspektywy nazbyt „powszechnej” (omawiając odrębnie) mniejsze regiony „Europy słowiańskiej” ze szczególnym uwzględnieniem regionu najlepiej nam znanego i chyba najlepiej zbadanego: Polski z Litwą, Państwa Krzyżackiego, Czech i Węgier. Dla czytelnika polskiego pożyteczne jest przedstawienie dziejów Europy Wschodniej i Południowej (stosunkowo mało u nas znanych), zwłaszcza dziejów chrześcijaństwa wschodniego. Bardzo interesujące są tu rozważania o monastycyzmie bałkańsko-ruskim oraz o procesie „bizantynizacji” kultury Słowian bałkańskich.